DZIENNIK WARSZAWSKI.

Sroda 7/19 Grudnia 1855 roku. № 337. Jutro Ś. Teofila M.
Wschód słoń. o god. 8 min. 9. — Zachód o g. 3 m. 47.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Zarząd 2go oddziału domu schronienia Najświętszéj MARJI Panny pod nazwą przytułku św. Wincentego a Paulo. — W odwołaniu się do dawniejszego ogłoszenia swego, w przedmiocie mających się odbywać stopniowych losowań na przyjęcie do domu przytułku, w dniu 2 Maja r. p., trzech wychowanek z pomiędzy córek ubogich rzemieślników, służących i wyrobników, w wieku od lat 8 do 12tu, podaje ponownie do powszechnéj wiadomości, iż pierwsze losowanie na pomieszczenie w zakładzie jednéj z pomiędzy kandydatek przez buchaltera zarządu na listę zapisanych, odbędzie się w wigilję BOZEGO Narodzenia, to jest w dniu 24 b. m. i r. o godzinie 2éj z południa, w lokalu przytułku, przy ulicy Chmielnéj pod Nr 1527, exystującego. Przytém zarząd nadmienia, iż zapis kandydatek z dniem 20 b. m. zamknięty zostaje, aż do dalszego w téj mierze ogłoszenia — Warszawa dnia 6 (18) Grudnia 1855 r — Zarządzająca zewnętrznemi interesami, Alexandra Petrow.

— Księgarnia pod firmą Zawadzkiego i Węckiego przy ulicy Krakowskie-Przedmieście wprost Saskiego placu w domu PP. Wizytek pod Nro 389, otrzymała następujące nowości: Gawęd, rymów ulotnych i przekładów Władysława Syrokomli poczet trzeci, Wilno, 1856, rs 1 kop. 35. Gospodyni litewska czyli nauka utrzymywania porządnie domu i zaopatrzenia go we wszystkie przyprawy, zapasy kuchenne, apteczkowe i gospodarskie, tudzież hodowania i utrzymywania bydła, ptastwa i innych żywiołów według sposobów wyprobowańszych i najdoświadczeńszych, a razem najtańszych i najprostszych, wydanie trzecie, poprawne i pomnożone różnemi przepisami przez autorkę Kucharki litewskiéj, Wilno, 1856, rs. 2 kop. 25. List Pasterski biskupa Wileńskiego z powodu rozesłania po kościołach djecezji Wileńskiéj Allokucji i Listu Apostolskiego Piusa IX papieża, o dogmatycznéj definicji Niepokalanego Poczęcia Najświętszéj Panny Boga-Rodzicy Marji, Wilno, 1855, kop. 10. Powyższe książki dostać można po téj saméj cenie w Kaliszu u H. Hurtig, w Płocku u K. Dobrzanskiego, w Kielcach u L. Mozdzeńskiego.

Odezwa do panów techników. (Nagrody 24 Frydrychsdorów). — Ponieważ wielu właścicieli gorzelń *w Nowéj Marchji, w Pomeranji, w Poznańskiém, w Prusach i w Szląsku górnym* objawiło jednozgodnie życzenie: aby podatek od wypalania wódki, opłacany był, nie jak dotąd, od *objętości kadzi zacierowéj*, ale raczéj od *jakości i ilości spirytusu*, przeto rząd Pruski, na posiedzeniu pierwszéj izby deputowanych, w dniu 29 Marca 1854, oświadczył iż rzecz tę weźmie pod rozwagę i ewentualnie porozumie się w téj mierze z rządami, do związku celnego należącemi.

Nowy ten sposób podatkowania, nie już tylko dozwalałby przerabianie na spirytus kartofli mniéj więcéj nadpsutych, ale nadto, co ważniejsza, wypalanie spirytusu: *z buraków, marchwi, pasternaku, topinamburów* (bulwów); które to rośliny, przewyższają obecnie w plonie, więcéj niż trzy razy kartofle. (*)

Chodzi teraz: o wynalezienie normy do tegoż podatku. W tym celu, baron v. *Senfft Pilsach Sandau* wyznaczył nagrody 24 Frydrychsdory, za podanie najlepszego w tym względzie projektu. Główniejsze onegoż warunki są następujące:

1. Opłata pobierana od ilości i jakości wypalonego spirytusu, z wyżéj wymienionych produktów.

2. Zaprowadzić się mająca kontrolla tak urządzona, aby podobnie jak dziś, zabezpieczała rząd od defraudacji.

3. Dokładne wykazanie kosztów administracji i kontrolli; oraz podany ich stosunek do dzisiejszych kosztów.

Tylko w tym razie, gdy powyższe zadania gruntownie oznaczone zostaną, ministerjum skarbu Królestwa Pruskiego, będzie mogło rzecz tę wziąść pod rozwagę i układać się z rządami do związku celnego należącymi.

Wyżéj wymieniona nagroda przyznaną zostanie za projekt, który *Królewskie kollegium agronomiczne w Berlinie*, uzna za zupełnie odpowiedni celowi. Ostateczny termin do nadesłania wspomionemu kollegium projektu, oznaczony został na 1go Lutego roku 1856.

Sandau 16 Października 1855 r. — Baron *Senfft-Pilsach.*

Ktoby sobie nie życzył przesłać wprost do Berlina wspomnionego projektu, złożyć go może u podpisanego.— Franciszek dr *Betzhold.*

(*) „Wypalanie spirytusa z buraków, marchwi, pasternaku i topinamburów i t. d.“ przez J. N. Kurowskiego. Warszawa 1855 r. Cena rs. 2.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

AMERYKA.

— Zaczynamy nieco jaśniej widzieć co do wyprawy kierowanej przez jednego awanturnika amerykańskiego pułkownika Walker, przeciw prowincji Nicaragua, a te nowe wiadomości nasze w tym przedmiocie są stanowczem potępieniem niesłychanego powodzenia bandy flibustjerów, którzy w naszym dziewietnastym wieku, mogli wylądować w kraju niezawisłym, opanować jego stolicę, zwalić jego rząd i instytucje, rozstrzelać najdzielniejszych jego urzędników i to bez najmniejszej przeszkody i protestacji.

Wiadomo jest, że po pierwszym zamachu, który się zupełnie nie powiódł, pułkownik Walker otrzymawszy posiłki, opanował Grenadę, stolicę Nicaragua.

Wiadomo także jak przez wdanie się swego współziomka, ministra amerykańskiego, potrafił utrwalić swoje podboje podpisując traktat pokoju z jenerałem Corral, naczelnikiem wojennym zwalonego rządu; ale dotychczas nie wiedzieliśmy o środkach jakich on użył dla dojścia prawie bez przygotowania do tak świetnych rezultatów i do zaprowadzenia pewnego rodzaju rządu powszechnie uznanego w całym kraju i który czyni cały lud uległym jego władzy. Dziś te środki nie są już tajemnicą; są one wszystkie zawarte w kilku wyrazach przywiezionych przez ostatni paropływ zaatlantycki i zredagowanych tak aby omamić czytelnika swoją formą lub ujść zupełnie uwagi. Oto te wyrazy: »Jenerał Corrall przekonany o zdradę stanu, został rozstrzelany.«

Dla lepszego wyjaśnienia rzeczy trzeba, się cofnąć nieco wyżej.

Ze wszystkich prowincji dawnej Rzeczypospolitej Guatimala, żadna nie jest tak szczęśliwie położoną, uważając ze stanowiska interesów Ameryki północnej, jak Nicaragua. Dla tego liczne przedsięwzięcia amerykańskie utworzyły się tam szczególnie od czasu jak Kalifornja tak cudownie podniosła się co do swojej ważności. Wszystkie drogi transportowe na terrytorjum Nicaragua są w rękach amerykańskich. Jedna kompanja tranzytowa za pomocą swoich paropływów, jest panią wszystkich jezior i rzeki San Juan, które stanowią łatwą komunikację między dwoma oceanami ciągle przebywaną przez niezliczonych podróżnych udających się do Kalifornji lub stamtąd wracających. Towarzystwo jak się zdaje przyniosło ważną pomoc pułkownikowi Walker. Przysłało mu ono 20.000 dolarów na rekrutowanie w San Francisco, a po klęsce pod San Juan oddało mu do jego dyspozycji jeden swój paropływ, dla ukrycia 60 ludzi jego armji i przewiezienia ich do Grenady.

Był to dla tego awanturnika jedyny sposób uniknienia baczności jenerała Corral, naczelnie dowodzącego wojskiem rządowem, który z 1.500 ludźmi znajdował się w Rivas, gdzie pobił napastnika swego kraju po raz pierwszy i gdzie byłby go drugi raz przytrzymał, gdyby pułkownik zostawiony własnym środkom, udał się ku Grenadzie drogą lądową. Jakież musiało być zadziwienie jenerała Corral, kiedy reprezentant dyplomatyczny Stanów Zjednoczonych, biorąc na siebie rolę negocjatora, nie zważając na swój urzędowy charakter, przedstawił mu się podając warunki pokoju jego przeciwnika, będącego już panem stolicy. Te propozycje dawały jenerałowi Corral podwójny termin, 48 godzin i 72 godzin, dla poddania się faktom spełnionym. Po upływie pierwszego terminu, pan Mayorga, minister stanu, jeden z jeńców, miał zo-

---

JAK PRZYSZŁO TAK POSZŁO.

LEGENDY PALESTRANCKIE.

Jana Prusinowskiego.

(Dokończenie).

Pan Filip wyjąkał swoje nazwisko, postać podskoczyła, chude nogi związały się w misterny fontaź w powietrzu i zapiszczała znowu.

A to pan dobrodziéj! Wysłaliśmy właśnie pozew, Uprzejmie witam, pokornie proszę. Oto jest procedura pańskiego interesu, oto arynga pańskiego zachowania się. Jest to gatunek wieży, tak, ale bez grzywien, oh bez grzywien! Masz pan patrzyć na niebo i ziemię, plus minus do końca świata, bo do tego terminu odroczony wpis pańskiéj sprawy. Zresztą pilnuj pan terminu, do zapalenia świec, tak do zapalenia świec. Upadam do nóg, pokornie życzę spokojnéj nocy? A gdzież jest przysięgły, dodał grzeczny jegomość obracając w stronę, spisać akt urzędowy o stawieniu się na termin.

Odszedł, a jakaś niewidzialna siła, pokręciła głowę p, Filipa, na obie strony i musiał patrzyć na niebo i ziemię.

Zdało mu się, że w około trzaskał i gorzał ogień piekielny z całą srogością jak mu opowiadała matka gdy był dzieckiem. W około zdawał się słyszyć, jak skrzypiały wszystkie narzędzia męki piekielnéj i huczały nieskończone męki i narzekania potępieńców. Ale wolałby parzyć się w tym ogniu i przechodzić zarazem wszystkie męczarnie, wszystkich dusz potępionych i szatanów, niżeli patrzyć na niebo i ziemię...

Jednem spojrzeniem objął wszystko czego się lękał. W gronie dusz błogosławionych poznał niewyraźne kształty rysów ojca i matki. Przy nich jaśniały dwie zmarłe w dzieciństwie siostry i Magdalena; już jéj nie szpeciła ślepota! Wszyscy cieszyli się szczęściem wiekuistem, w obliczu wiekuistego Boga! Lecz niemogło Go widzić oko potępieńca, przeczuł Go tylko tam, gdzie była jasność jasności.

Głowa jego odwróciła się w inną stronę, jak żagiel za zmianą wiatru i zobaczył ziemię.

Zobaczył wioskę pod Braiłowem, państwo chorążostwo z synem, Franciszka z mężem i dziećmi, i śliczna Zosia, siedzieli razem. Dzień był pogodny, wszyscy byli tak weseli, tak radzi z siebie, tak przyjacielsko rozmawiali! Cóż to ma znaczyć? Dla czego on nie miał nigdy wstępu do dworu i oboje państwo dawniéj wyglądali jakoś inaczéj? Cóż to? Oni szczęśliwi na ziemi, jak rodzice i reszta rodzeństwa w niebie?...

Już noc, wszyscy rozeszli się do siebie, wszyscy usnęli. Dusze siostr jego widzą się w snach błogosławionych z duszami rodziców, o nim ani słychu, on potępiony na wieki.

Znowu dzień błysnął, słońce świeci, wiatr wieje. Ludzie żyją, smucą się, cierpią nieraz, ale też mają chwilę swobody i roskoszy! Zobaczył znowu rodzinę, nie mógł znieść widoku cichego ich szczęścia. Odwrócił się w inną stronę i zobaczył swoje mieszkanie.

Tam już kto inny jak on bywało szachruje, jak on bywało bierze pieniądze. Nowe boleśniejsze przejście męczarni! Dawne łakomstwo zastąpiło znowu chwilowe uczucie trwożnéj żałości. Znowu patrzył na niebo i ziemię, ale z wściekłą zazdrością. Pożądał wszystkich roskoszy nieba i ziemi, wyrzekał bluźnierczo, przeciw Bogu ludziom i sobie.

Była to tylko krótka chwila chorobliwego marzenia, jemu się zdało, że na jawie wieki wieków przecierpiał. Obraz ten miljon razy, przesuwał się przed jego okiem, przed jego duszą. Wszystkie muskuły i nerwy przez ciągłe targanie zdrętwiały i przestał czuć ból w ciele i miał krótką chwilę wytchnienia bez żadnych przywidzeń.

Nagle zdało mu się, że ziemia zawieszona w niezmierzonéj przestrzeni, zatrzęsła się i potłukła. Niebo się otwarło, otworzyło się piekło, zagrzmiała trą-

stać rozstrzelany, po upływie drugiego terminu wszyscy członkowie rządu i znakomitsi mieszkańcy, mieli ulédz temu losowi. Prócz tego pułkownik żądał dla siebie albo stopnia jenerała naczelnie dowodzącego w Nicaragua, albo ustąpienia bezpłatnego 52.000 akrów ziemi, do wyboru, gdzie mu się tylko podoba.

Taką była odezwa którą pan Wheeler przyjął i powiózł do Rivas, wziąwszy ze sobą ministra wojny, który miał nakłonić jenerała Corral do przyjęcia tych wszystkich warunków dla uniknienia największych nieszczęść.

Po upływie 48 godzin gdy żadna odpowiedź nie nadeszła do Grenady, pan Mayorga został nielitościwie rozstrzelany. Był to może jedyny mąż stanu w swoim kraju który okazał stałość i poświęcenie. Odważył on się strzelić do statku parowego na którym płynęła część wojska Walkera. Słusznem było żeby płacił życiem rzadki zaszczyt spełnienia swego obowiązku.

Na szczęście dla innych jeńców, drugi termin nie upłynął bez skutku. Jenerał Corral, który z razu aresztował ministra amerykańskiego, ustąpił na wieść o krwi przelanej. Przed upływem fatalnego terminu, pan Wheeler odwiózł swemu wspólnikowi Walker, traktat zakończający rewolucję zupełnym tryumfem jej przywódcy. Natychmiast zreorganizowany został rząd i pan Patricio Rivas otrzymał tymczasowo godność prezydentoską. Pan Walker objął naczelne dowództwo wojska, jeden z jego oficerów zainstalował się w komisarjacie wojennym, a nazajutrz 19 października, urzędowy dziennik napastników, doniósł Ameryce i Europie, że porządek panuje w Grenadzie.

Od tej chwili potęga Walkera ciągle wzrastała. Znaczne posiłki nadeszły mu z Kalifornji. Korzystając z tego nałożył on kontrybucję 100,000 dolarów na najbogatszych mieszkańców, nie oszczędzając nawet domów handlowych cudzoziemskich. W dniu 27 października Corral przybył do Grenady opuszczonej przez najbogatszych mieszkańców, wypłoszonych trwogą i oddał Walkerowi dowództwo wojska zostającego pod jego rozkazami. *Te Deum* uwieńczyło to pozorne pojednanie.

Co następnie zaszło? Tego nie wiemy, tak dalece nowiny otrzymane są lakoniczne. Tymczasowy prezydent został zainstalowany w miejscu w dniu 30 października. W dniu 13 listopada rząd jego został uznany przez gabinet Stanów Zjednoczonych; w dniu 19 Corral został rozstrzelany. Z jakiej przyczyny lub pod jakim pozorem, tego nie wiemy, i to dopiero przyszłość nam wyjaśni. *(Ind. Belge).*

A N G L J A.

Daily News, ten niezmordowany nieprzyjaciel Rossji, w następujący sposób ocenia powodzenia odniesione przez sprzymierzonych w Krymie.

»Jakkolwiekbądź, widocznėm jest że gdy sprzymierzeni nie mogli zadać stanowczego ciosu armji rossyjskiéj we wrześniu, i że gdy zmuszeni są przedłużyć kampanję do przyszłéj wiosny, przeto są wystawieni na podwójną równie niepomyślną odpowiedzialność. Najprzód jeśli zechcą negocjować o pokój, to będą musieli układać się podczas gdy Krym znajduje się jeszcze w rękach nieprzyjaciela, a jeśli będą daléj prowadzili wojnę, to powinni przygotować się na spotkanie się na wiosnę z armją rossyjską nietylko odżywioną moralnie, ale nadto znajdującą się w pozycji obronnéj, którą jéj mistrze w sztuce wojennéj potrafią uczynić równie trudną jak niebezpieczną dla tych którzy ją zechcą atakować.

Za prawdę trudno jest przesadzić w oczach dyplomatów rossyjskich teraźniejsze zajęcie Krymu przez wojska sprzymierzone. Gdyby istotnie prawdą było, jak to zapewniają pewni entuzjaści, że gdy przyjdzie roztrząsać warunki pokoju, Rossja bez oporu zezwoli na opuszczenie Krymu, perspektywa jakąby sprzymierzeni mieli przed sobą, byłaby tak piękną jak tylko żądać można i warunki pokoju nie wymagałyby wielkich rozpraw; ale prawdę mówiąc, teraźniejsze położenie armji rossyjskiéj dowodzi jasno, że cel wyprawy do Krymu jeszcze *wcale nie jest osiągnięty*. Północna strona Sebastopola jest jeszcze w ręku Rossji i równie sprzymierzeni jak rossjanie zdają się sądzić że dopóki twierdze północne nie zostaną opanowane przez sprzymierzonych, los wojny w Krymie nie będzie mógł być rozstrzygnięty, bo pytamy się jak można powiedzieć, że sprzymierzeni są w posiadaniu Sebastopola, kiedy port jeszcze jest broniony działami nieprzyjaciela i kiedy jego ogień panuje nawet nad zwaliskami zamku.

— Czytamy w *Presse*:

Dzienniki posunęły się do przypuszczeń mniéj lub więcéj śmiałych w przedmiocie postępowania Szwecji, a mianowicie w przedmiocie prawdziwego celu misji jenerała Canrobert. Według nich, nic nie było prawdopodobniejszém jak zobaczyć Szwecję łączącą się z mocarstwami zachodniemi, posuwano się nawet do twierdzenia zupełnie i stanowczo, że szczegóły ugody w tym względzie już były ułożone. Nie ma najmniejszego uzasadnienia tych wszystkich wymysłów i pogłosek i te czcze i nienzasadnione wieści pochodzą po prostu od dzienników i ich korespondentów prywatnych. Nie ma żadnego powodu przypisywania jakiejkolwiek zmiany polityce Szwecji, ani najmniejszego nawet odstąpienia od zasad ścisłéj neutralności którą ona ogłosiła. Ale dziś pogłoski subtelniejszego jeszcze rodzaju wylęgły się w płodnych umysłach; król szwedzki według nich, przystaje na pośrednictwo między mocarstwami prowadzącemi wojnę, pośrednictwo które dawniéj miało być powierzoném dworom niemieckim, dziś nie posiadającym przyjacielskiéj ufności mocarstw zachodnich, a które obecnie powierzoném będzie dworom skandynawskim, widocznie daleko lepiéj stojącym w ich przyjaźni. Wszystkie te wymysły, nie zaprzeczamy że bardzo dowcipne i niezmiernie interesujące, mają jeden błąd tylko, to jest że pozbawione są wszelkiego cienia rzeczywistości i prawdy. Missja jenerała Canrobert nie miała innego celu prócz tego, jaki był urzędownie ogłoszony. *(Jour. de St. Pet.)*

F R A N C J A.

Paryż 29 Listopada. Roznosiciele pogłosek pokoju w Paryżu, z uporczywością zapewniają, że negocjacje zostaną wkrótce na nowo rozpoczęte, ale *Independance Belge* która donosi o tych pogłoskach, ciągle nieufa im wcale.

Co do misji jenerała Canrobert, zgodzono się nakoniec pomimo przeciwnych zapewnień *Timesa*, na przypuszczenie, że wszystko co powiedziano o ugodzie militarnéj, o czynnem współdziałaniu państw skandynawskich w przyszłych operacjach sprzymierzonych, może być pomieszczone w kategorji bajek.

— Jeden z korespondentów paryskich w *Independance Belge* podaje następujące szczegóły względem podróży jenerała Canrobert do Szwecji:

»Król niezaprzeczenie bardzo przyjazny ambasadorowi, nie chciał jednak przekroczyć pewnych granic, coby mogło dać przypuszczać, że występuje z przyjętych zasad neutralności. Był więc niezmiernie grzecznym, ale zarazem niezmiernie ostrożnym i wstrzemięźliwym; tak naprzykład wyznaczył dla towarzyszenia jenerałowi w czasie jego pobytu w Sztokholmie oficera nie bardzo przychylnego zachodowi hrabiego Rjoersterna, z którego jenerał nie mógł wyciągnąć żadnego użytecznego dla siebie objaśnienia. Z drugiej strony w publiczności spodziewano się, że Król udzieli jenerałowi Canrobert wyjątkowy stopień orderu *Szpady*, a tymczasem z podziwieniem wszystkich nadał on mu order Serafina, ten sam który Cesarz nosi.

Jenerał Canrobert byłby chciał rozpatrzyć się w sekretnych archiwach austrjackich, gdzie znajdują się mappy i opisy autentyczne w przedmiocie Finlandji. Odmówiono mu pozwolenia w tym przedmiocie. Uważano, że w czasie pobytu jenerała w Sztokholmie, ani raz nie było mowy o Anglikach. Jest to skutkiem postępowania ich marynarki przy brzegach i na ziemi Finlandji, gdzie wszystko niszczyli co tylko wpadło im w ręce, dla tego nie są oni tu wcale popularnemi, jednem słowem więcéj oni usłużyli sprawie rossyjskiéj przez nieużyteczne okrucieństwo względem biednych rybaków, niż gdyby byli zachowali więcéj umiarkowania w wykonywaniu swojéj smutnéj misji. *(Journal de St. Petersbourg).*

H I S Z P A N J A.

Madryt 11 Grudnia. Wypłata drugiego półrocza długu zagranicznego, ogłoszoną zostanie w dniu 15 b. m. w Paryżu i Londynie.—Rząd mexykański zawiesił wypłatę długu hiszpańskiego. Nie widzimy innego powodu tego postępowania, jak tylko zupełne wypróżnienie skarbu mexykańskiego.

— W zeszłą niedzielę nowo-mianowany grandem hiszpańskim jenerał San Miguel, odbył zwykłą ceremonję która mu nadaje prawo stania z odkrytą głową w obec królowéj.

Przedaż dóbr narodowych postępuje pomyślnie. Niedawno 4110 cząstek które taxowano na 46 miljonów realów, przedane zostały za 85 miljonów.

— Pogłoski o przesileniu ministerjalném znowu obiegają. Powodem tego zdaje się być ta okoliczność, że w zeszłą sobotę, w chwili nieukontentowania, z przyczyn o których korespondencje nam nie donoszą, pan Huelvas minister spraw wewnetrznych, podał się do dymisji. Spodziewano się nakłonić go do cofnięcia tego kroku, ponieważ ani Espartero ani O'Donnell nie radziby w obecnéj okoliczności zmieniać skład gabinetu. *(Indep. Belge).*

INDJE WSCHODNIE.

— *Friend of China* donosi o zgonie wikarjusza apostolskiego w Bengalu doktora Corew, arcy-biskupa Edessy, dodając, że gmina katolicka poniosła przez to wielką stratę. Zmarły odznaczał się dokładną wiadomością ...

---

ba archanioła i cały widok sądu ostatecznego, o którym nieraz słyszał dziecięciem od matki, rozwinął się przed jego obłąkanym wzrokiem. Mocno ziewnął i odetchnął, jakby dla odparcia powietrza co go dusiło. Przetarł oczy i przejrzał na jawie. Leżał na ziemi, w rozrzuconym i podartym kubraku, tylko smużkowa czapeczka, jak przyszyta trzymała się mu na głowie. Stoczek stał koło kufra, złoto błyszczało nieruchomą skorupą i było cicho

Pan Filip porwał się z ziemi. Wszystkie promienie, wszystkich przeminionych widziadeł, tkwiły w jego pamięci! I myśl nagła jak błyskawica, przebiegła po jego czole, aż żyły nabrzmiały i krew w przelewie zaklekotała po żyłach.

— Jestem zbrodniarzem; — zawołał głosem grobowym, jestem zbrodniarzem! Ale Bóg mnie oświecił! Radowałem się ze śmierci ojca, pozwoliłem może mojéj matce umrzeć w nędzy, opuściłem siostry bez chleba, bez opieki... Zgubiłem tylu ludzi mojem szachrajstwem, drugie tyle nie ciele i duszy mojemi radami, ale mnie Bóg dobry oświecił! Przypominam sobie akt skruchy, który odmawiałem w dzieciństwie przed obrazem Chrystusa Pana w Ogrojcu. Znajdę matkę jeżeli żyje, znajdę siostry, oddam im szystko... to ich dobro, Niechaj wspierają ubogich, niechaj się modlą za mnie, za duszę ojca, ja będę nędzarzem, żebrakiem, pójdę służyć do tego pana, u którego służyła moja matka. A to złoto?

Znowu go ogarnęło jakieś dziwne szaleństwo. Rzucił się jak piorunem do kufra, chwytał złoto w ręce, ściskał je w pięściach aż krew tryskała. Potem garściami rozrzucał po pokoju, ciskał w okna, i gryzł zębami, jak żołnierz obozowe suchary. Aż z wysilenia upadł na skrzynkę, wywrócił ją, dopełzł do stoczka, zapalił sobie brwi, włosy i smużkową czapeczkę. W konwulsyjnych miotaniach, zdawał się opisać rękoma znak krzyża, i skonał.

* *

Nadszedł ranek. Dym tlejącéj odzieży wciskał się przez szpary drzwi i okienic, w domu było cicho, myślano że pożar. Zbiegli się ludzie, wyłamano drzwi i okna, dym się ulotnił, i trup p. Filipa, w żebraczem ubraniu, skrwawiony i osmalony, ukazał się w całéj szkaradzie; leżący na kupie złota, ze złotem w ręku, ze złotem w zębach.

— Nieborak, rzekł jakiś młokos, który uchodził w miasteczku za dowcipnisia, spisał się prawdziwie jak Filip z konopi! Chciał się widać nieborak uraczyć w dzień swego patrona, ale znać strawniejsze miał serce, niż żołądek.

Roześmiano się w zebranym tłumie.

— Rzućcie kamień kto bez grzechu, rzekł z przekąsem p. Justyn, patrząc z współczuciem na zeszpeconego trupa.

— Czyż go pan myślisz bronić? rzekł dowcipniś, sam nieraz słyszałem, jakeś pan drwił z niego za życia.

— Bronić nie myślę, ale przekonywam się, że może nie był tak złym człowiekiem, jak się zdawało. Widać tylko że nieszczęśliwa namiętność, wzięła górę nad jego nieukształconem sercem. Ale, gdyby przeżył chwilę passowania się z sobą, któréj tu łatwo się domyślić, byłby zapewno opamiętał się i poprawił. Zawsze jest czas do poprawy. A iluż to jemu podobnych, brnie w bezeceństwie do śmierci, zaprawia. dzieci jeszcze za życia do swego rzemiosła, i żyją sobie spokojnie i długo. A dusze ich przywykłe do upodlenia nie cierpią; jak można przyzwyczaić organizm do trucizny, że stanie się nieszkodliwą.

Zebrane złoto, opieczętowano w zielonym kuferku. Przywołano doktora, żyd cyrulik rozpłatał trupa, rościął głowę, wyjął serce, doktor przykrzywił nosa, popatrzył...

— Serce puste, mózg we krwi, wnętrzności nieuszkodzone, to apopleksja.

I poszedł kończyć niedopitą kawę.

Trupa zszyto, związano i przybrano w śmiertelną bieliznę.

mością wszelkich jej interesów i przez swoją troskliwość o biedną ludność.

Towarzystwo wschodnio-indyjskie zamierza zbudować linję telegrafu podmorskiego z Suez do Bombay, swoim kosztem. *(Neue Pr. Zeitung).*

WIADOMOSCI Z WSCHODU.

Zeit donosi, że według wiadomości z Konstantynopola 15go listopada, rozmaite stronnictwa polityczne były teraz w wielkiéj agitacji w przedmiocie bliskiéj organizacji Księstw Naddunajskich.—Zamachy przeciw życiu i własności mnożą się coraz bardziéj w stolicy Turcji; anglo-francuzi oskarżają o nie greków, a turcy podają ormjan katolickich jako winnych.

— Znajdujemy w *Timesie* korespondencję z Konstantynopola donoszącą, że niepogody już się rozpoczęły, a z niemi wszystkie niewygody i nieprzyjemności jakie brak policji nagromadza w tém ogromném ale barbarzyńskiem mieście. Korespondent wyraża życzenie aby cyrkuły Pera i Galata, zajmowane już wyłącznie przez anglików i francuzów, mogły wyciągnąć z tego stanu rzeczy jakiekolwiek korzyści i żeby ktoś pomyślał o oświetleniu, wybrukowaniu ulic i ich bezpieczeństwie. Utworzyło się towarzystwo pod nazwą *Postęp Wschodu*, które proponuje rządowi tureckiemu: 1. Wybrukować i oświetlić ulice; 2. ponumerować domy i nadać nazwiska ulicom; 3. urządzić środki komunikacji dogodne, łatwe i tanie; założyć i zbudować fabryki na sposób istniejących we Francji i Anglji w wielkich miastach. Przedsięwzięcie to jest olbrzymie, samo wybrukowanie ulic i uliczek wymagałoby zupełnego przerobienia całego miasta, aby uczynić podobnem cyrkulowanie powozów i obawiać się należy że entreprenerowie nie dadzą rady temu planowi, ale najmniejsze nawet usiłowanie będzie już ważnym postępem w tém nieczystem mieście gdzie ulice pokryte są głębokiemi bagnami, przedstawiają szeregi domów w zwaliskach, tu i owdzie zupełnie opuszczonych, których zniszczone mury smucą jeszcze wzrok widokiem stoczonych przez robaki drzwi, okien lub szyb i całą tę powierzchowność świadczącą o najwyższem zaniedbaniu i barbarzyństwie. Prócz tego mówi daléj korespondent, Konstantynopol jest nieustanną stolicą ludu złodziei, zbójców, którzy bardzo często do kradzieży dodają morderstwo, do których jak mi się zdaje, w obecnych okolicznościach przyłączają się fanatycy i exaltyści, których ślepa nienawiść dla cudzoziemców uzbraja sztyletem morderczym. Dodajcie do tego drożyznę żywności, grożący nam głód, a będziecie mieli wyobrażenie o zimie która się rozpoczyna. Osoby bardzo dobrze obeznane z Turcją i jéj socjalnemi warunkami, zapewniają że będziemy bardzo szczęśliwi jeśli przebędziemy tę porę bez prawdziwego głodu. W całém państwie ceny artykułów żywności niezmiernie się podniosły, a potrzeba ciągłego zaopatrywania pochłaniających armji w Krymie, powiększa ten niedostatek na targach. Jeśli nasze obawy sprawdzą się, będziemy mieli niezawodnie wielkie zawichrzenia a przynajmniéj przerażające powiększenie liczby zbrodni. Biedniejsza część ludu z każdym dniem staje się bardziéj niecierpliwą względem nadużyć chrześcjan. Turcy sądzą że my opanujemy ich kraj, a ich uczynimy naszemi poddanemi lub nawet wytępimy. Oto wyobrażenie fanatyków i bigotów i obawiamy się że nie ma sposobu zatarcia tych idei w ich umysłach. Słyszymy tu zresztą i to bardzo często, skargi na niepomyślne postępowanie francuzów, choćby nawet przypuścić w tém nieco przesady, nie można zaprzeczyć że nasi waleczni sprzymierzeńcy traktują turków po afrykańsku, a całą Turcję jak kraj podbity. To zuchwalstwo zapełnia serca muzułmanów panicznem pragnieniem zemsty tém straszniejszém im bardziéj przytłumionem. Owa ważna sprawa między francuzami i tunetańczykami, spowodowaną była pierwiastkowo przez pijanego żołnierza francuzkiego który zerwał fez z głowy jednego oficera tunetańskiego, a wsadził mu swoje czako. Mówią o stowarzyszeniu fanatyków mającém na celu wymordowanie pewnéj liczby chrześcjan, na pomszczenie tunetańczyków na śmierć skazanych. Zdaje się że rzeczy zaszły tu tak dalece, że jenerałowie i admirałowie sprzymierzeni mieli konferencję, na któréj postanowili wziąć we własne ręce policję miejską, w razie jeśliby rząd turecki nie był w stanie przytłumić nieporządki grożące bezbieczeństwu publicznemu. Zakomunikowanie téj rezolucji, sprawi mamy nadzieję dobry skutek i nastraszy rząd turecki. W każdym razie potrzeba będzie zaprowadzić patrole francuzkie i angielskie do pełnienia nowéj służby na ulicach.

— Korespondencja z Pera 12go listopada przesłana do *Gazety Augsburskiéj* mówi także, że w miarę jak zima się zbliża, drożyzna żywności powiększa się, a zamachy przeciw własności stają się częstszemi w Konstantynopolu, a władze nie przedsiębiorą żadnych energicznych środków dla ich przytłumienia. Nie mówiąc o żadnych dawniejszych wypadkach, korespondent przytacza jednego oficera angielskiego który został wśród dnia napadnięty na ulicy przez rabusiów i odarty ze wszelkich kosztowności jakie miał przy sobie.

— Piszą z Kalafat (Wołoszczyzna), że przy ostatnim wyładowaniu w tym porcie oddziału wojska austrjackiego, statek na którego pokładzie znajdował się, rozbił się wskutku gwałtownéj burzy i 18stu ludzi, a między nimi 3ch oficerów zginęło w bałwanach.

(Journal de St. Petersbourg).

Od redakcji. — Panna Antonina Machczyńska, znana już publiczności z utworów poetycznych, w piśmie naszem zamieszczanych, napisała dwa dziełka, jedno pod tytułem »Czytania dla dzieci wiejskich,« drugie »Przygody Walentego, powiastki dla wieśniaków.« Oba te dziełka są już obecnie ukończone i wkrótce wyjdą z druku. Chwalebny cel, który pracy panny Machczyńskiéj przewodniczył, co się widocznie z tytułów okazuje, przemawia z góry za praktycznością tych wydań, których potrzeba zdawna już czuć się dawała. Umieszczamy tu parę wyjątków udzielonych nam przez autorkę, z których czytelnicy będą mogli powziąć niejakie wyobrażenie o całości.

WYJĄTEK
z CZYTAŃ DLA DZIECI WIEJSKICH.
ROZDZIAŁ II.
Litera B. — BÓG.

Chodząc sobie po polu, zachciało mi się biczyka. Jak tu zrobić biczyk? pomyślałem sobie i pobiegłem między krzewy. Przygiąłem kolczatych gałęzi, urwałem chlubkę, rosnącą we środku, matka dała sznurka — i był biczyk.

Nim go jednak zrobiłem, musiałem szukać krzaka, zerwać chlubkę, pomyśleć o sznurku; Bóg zaś całą ziemię zbudował, tyle pól, łąk, zboża, kwiatów utworzył, a nikt mu na to nie dał materjałów, a nigdzie ich nie szukał. Stąd widzę, że ludzie nad każdą rzeczą muszą pracować, Bóg zaś wszystko stwarza z niczego i dla tego też Boga nazywamy Stwórcą.

Leżało wielkie drzewo na środku pola. — Ja podniosę je, rzekł Maciej cieśla i probował; ale gdzie tam! drzewo leży jak leżało. — Podnieśmy go we dwóch, rzekł drugi; znów probują daremnie; wreszcie wielu ludzi przyszło, złączyli swe siły i podnieśli drzewo.

Stąd widzę że dwóch ludzi więcéj może niż jeden, kilku więcéj niż dwóch, kilkunastu wiele zrobić potrafi, ale siły i praca wszystkich ludzi nie wystarczyłyby na stworzenie. Bóg stworzył świat, Bóg ziemię, niebo, gwiazdy i każdą choćby najtrudniejszą rzecz uczynić może i dla tego też Boga nazywamy Wszechmocnym.

Wioska nasza ludna i piękna, ma swego dziedzica, my go nazywamy panem, jego jest ta łąka, pole, zboże i owoce, z których nam udziela pożywienie.

Świat wielki ma także swego dziedzica: Bóg jest dziedzicem świata; Jego są wszystkie pola, łąki, miasta i wsie; Jego żyjące stworzenia i nieżyjące rzeczy; Jego owoce zboża i kwiaty, z których ubógim i bogaczom użytkować pozwala; On panuje wszystkiemu, stąd więc nazywamy Go Panem.

Dziedzic wioski daje nam zboża i owoców, a my ze to dajem mu ofiarę z pracy, Dziedzic świata Bóg, za wszystkie swoje dobrodziejstwa, żąda od nas, miłości, posłuszeństwa i cnót potrzebnych nam do szczęścia.

— A jakie cnoty są nam potrzebne do szczęścia? — spytałem się ojca. On spojrzał w niebo rzekł mi:

— Kochaj Boga mój synu, kochaj bliźniego jak siebie, nie czyń krzywdy nikomu, pracuj, miéj czyste serce, a pozyskasz wszystkie.

Ojciec opatruje potrzeby moje, daje mi wychowanie i opiekę; on mnie uczy powinności dopełniać, on mi mówi o Bogu; z jego pracy mam ubiór i pożywienie, mam gdzie głowę położyć. Nie powinienżem go za to kochać, nie powinienżem z miłością i wdzięcznością mówić do niego:

— Ojcze mój!

Bóg więcéj jeszcze nam daje, Bóg lepiéj nas kocha, niż rodzice, Bóg się umęczył dla naszego zbawienia pozwolił: czyż więc nie słuszna, abym codzień klękał z miłością i wdzięcznością mówiąc do Niego:

— Ojcze nasz któryś jest w Niebie.

WYJĄTEK Z POWIASTKI
DLA WIEŚNIAKÓW:
PRZYGODY WALENTEGO.
Rozdział Xty.
Pogrzeb.

Piękneż to na świecie, gdy go wiosna odżywi, zieleni; lecz smutno, gdy się położy w jesiennéj trumnie i całą ziemię śniegowym całunem przykryje.

Pięknie, gdy wiosna młody kwiat rozwinie, rozdmu-

DZIECIĘ PRÓŻNOŚCI.

OPOWIADANIE

przez

Autora Kłopotów Starego Komendanta.

(Ciąg dalszy).

(Patrz Nr. 314).

Wśród takiego rozruchu i tylu szybko po sobie następujących wypadkach, nic dziwnego że i umysł Józefa popłynął za ogólnem rozstrojeniem. Dotąd jeszcze, nie mogło się pomieścić w jego skołatanéj głowie to, jakim cudem do ostatniéj chwili, ta zrujnowana machina pańskości trzymała się tak misternie, i z całem upozorowaniem swéj mocy, odbywała ruchy pełne swobody, zapomnienia się i ślepéj a niewytłumaczonéj lekkomyślności. Teraz więc, gdy spadła zasłona, gdy wszystkie żeby podrużgotanych kółek naraz odpadły, gdy dziedzictwo obszernego majątku zrobiło się zadłużoną dzierżawą, a wreszcie nikczemna słabość w upadku przyćmiła jeszcze tak świeże rojenia i bezczelnie podtrzymywaną hardość, — porwał się za głowę nasz bohater, i w pokorze ducha musiał przyznać, że ludzie zbyt już naturalnie odgrywają komedję życia, on znów za zbyt prostaczkowato patrzy się na nią.

Jak tu mieć litość nad owemi szaleńcami, których pycha z całą usilnością, własnemi rękoma, grzebie grób świeży za życia. I oni żebrzą łez miłosierdzia, krzyczą na złość i zepsucie ludzkie, prawią o świetnych meteorach cnót towarzyskich, a w chwili upadku, pełzają u nóg własnéj hańby, i miljon razy spadają niżéj, w obliczu świata, niż wprzódy podnieść się zdołali. Tak, tak, jest prawdą nieprzepartą — mówił do siebie przebiegając myślą dzieje przygasłych familji, że jedna tylko wada, a raczéj grzech śmiertelny p r ó ż n o ś ć, trapi całe kraje, narody, ludzkość i popycha je do zguby; wszystkie inne wobec niéj, są dalekiem echem, iskierką naprzeciw piekielnych odchłani, godziną w porównaniu wieczności. Tę hydrę przydusić choćby raz w ciągu stuleci, a świat z anieleje!!!

* * *

A i w sypialni naszéj pani również bolesny przedstawiał się widok: osłabiona konwulsyjnym śmiechem pani Gąsiewska, wodząc błędnemi oczyma po pokoju, zdawała się szukać jakiegoś wsparcia, pewnéj pociechy a może i litości od tych, dla których całe swe życie poświęciła. Ale załzawione oko, nie miało spocząć na kim, ciężkie westchnienia odbijały się bezpowrotnie od pustych ścian komnaty; wszyscy ją odstąpili jakoby Łazarza własnych błędów. Snać Bóg już na téj ziemi, w dopełnieniu ogólnéj kary za pychę, przyłączył i niewdzięczność w zamian poświęcenia z takowéj wypływającego.

W przepalonem sercu uciechami życia, w tych smutnych zgliszczach ubiegłéj świetności, nie było nic, coby odrodzenie moralne zwiastować jéj mogło. Próżność, nie zna miłości prawéj — próżność daleką jest od wiary w przyszłe szczęście — próżność szydzi z nadziei chrześcjanina; próżność nakoniec, choć chełpi się symbolem honoru, najpierwsza jednak chyli kark swego niewolnika, zacierając w duszy wszystkie szlachetne znamiona godności człowieczéj.

Tak też i nasza ex dziedziczka nie znajdując pociechy w modlitwie, nie wierząc w konieczność pracy i pokory — umiała tylko płakać, chwytając z pewnym rodzajem obłąkania pierwszą lepszą pajęczynę, mogącą ją wznieść choćby na chwilkę tylko, aby wyżéj, aby raz jeszcze wyżéj.

Domowa służba, oficjaliści, poddani, a nawet i sam Konrad z żoną, ujrzawszy powracającą przytomność pani i matce, rozbiegli się na wszystkie strony, rabując, drapiąc, co się tylko dało. Emilek jeden, może nazbyt młody i niedoświadczony dzieciak, popłakawszy trochę nad chorą matką, wymknął się jednak na dziedziniec, chciał to coś po dawnemu

cha, do życia przywoła; smutno, gdy dąb stuletni runie śród burzy jesiennéj.

Jeśli kwiat zwiędnie, dziewczyna zapłacze, może i anioł łzę uroni w obłoku, a z przyszłą wiosną nowy kwiat porośnie; jeśli dąb runie, biada! wątłéj gałązce, co się pod jego tuliła konary, co słaby listek na jego pniu opierała.....

Przyszła jesień, kwiaty powiędły, dąb nie runął, ale przed chatą Rochowéj, stała milcząca gromadka wieśniaków. Woda z niedawno spadłego deszczu płynęła po ziemi, mglisto, chmurno było na niebie, nie widać chat ni kościoła, wiatr jesienny tylko smutnie podzwania w zeschłe gałęzie złamanéj brzozy, leżącéj przy drodze.

Wkrótce i dzwon zadzwonił, skrzypnęły drzwi chaty, zaskrzypiały koła wozu, ciężkie stąpanie dwóch spracowanych wołów ciągnących takowy, odbijało się po ziemi, jęk i łkanie słychać było śród powolnie idącéj za nim gromadki.

Na wozie stała trumna sosnowa, czysta, prosta, przybrana tylko w wieniec przywiędłych już liści dębu; w trumnie leżał Roch stary, spracowany, umarły, za trumną szła żona jego, córka, sąsiedzi, Grzegorz, i ubóstwa trocha; a przed trumną pleban poprzedzany przez bosego chłopca z krzyżem w ręku, śpiewał z pobożnéj książki. Śpiew jego żałobny mieszał się smutnie z dzwonieniem dzwonu, z świstaniem wichru w złamaną brzozę i z płaczem drużyny.

Biedna Rochowa trzymała ręką trumnę i szła przy wolno ciągnącym przez wieś wozie, płacząc i narzekając:

— O! mój Boże, mój Boże, co ja pocznę biedna sierota! Ni mnie już ojca, ni matki, ni ciebie Rochu. A nabiedowałeś się też przed śmiercią, a stękałeś już od roku blisko, nie opuszczając rąk wszakże i pracując ciągle na nas. Czemuż ja lepiéj nie umarła za ciebie!

A Aneczka, biedna Aneczka! Cóż wam opowiem o téj córce kochającéj, co lubiła głowę ojca wspierać na piersiach swoich i myślić o nim przy robocie i po robocie rozweselać mu chatę; cóż wam o niéj powiem?

Młode jéj serce ciężko było ściśnięte, z niedowierzaniem patrzyła w trumnę i zawołała:

— To nie może być, żebym ja już ojca nie miała!

— Bo też go masz jeszcze Aneczko, — powiedział żebrak Grzegórz, zbliżywszy się do dziewczyny, a gdy ona załzawionemi oczyma żywo na niego spojrzała, rzekł, wskazując w górę:

— Masz go teraz w niebie!

Na te słowa religijnéj pociechy, dziewczyna wspomniała Boga, przeznaczenie człowieka, jego koniec niechybny, śmierć, i uwierzyła w śmierć na ziemi; łzy rzuciły jéj się do oczów, z boleścią pożegnania przytuliła trumnę Rocha, ale wspomniawszy wieczność, świat drugi, spojrzała w niebo, szukając tam duszy ojca. Odtąd żal jéj, jak żal każdego pobożnego człowieka, ku niebu bieżał, stał się poświęconą ku niebu tęsknotą, która u Boga strat swoich odszukuje, pragnąc się zbliżyć do Niego dobrém, poczciwém życiem.

Orszak pogrzebowy zbliżał się do wrót wiejskiego cmentarza: matka i córka płakały, sąsiedzi patrzyli na nie z żalem, nie śmiejąc słowa przemówić; niektóre z kobiet szeptały pacierze, nim ze słówkiem pociechy szły do płaczących, inne znowu mówiły pomiędzy sobą:

— Jak tu pocieszać, co pomoże gadanie, kiedy serce boli?

Pogrzebano wieśniaka, zasypano go ziemią i już nic dla niego nie ma, jeno na tamtym świecie sąd Boga, a na tym łza żony i córki, modlitwa krewnych i ludzi wspomnienie.

Ziemi przybył nowy proch, cmentarzowi krzyż świeży, a ludziom nowa nauka!

Wyszli wszyscy z za wrót śmiertelnych, gromadka w milczeniu szła ku traktowi, a zbliżywszy się do miejsca gdzie się drogi roschodzą; wieśniacy i wieśniaczki poszli do chat swoich, myśląc o śmierci, która najlepiéj uczy nas życia.

Młynarka tylko z mężem odprowadzili Rochową i jéj dziewczynę do mieszkania. Wdowa wyniosła wnet z izby kilka groszy, kawały chleba, leguminy trochę, a Aneczka rozdzieliła to wszystko między żebraków, stojących przed progiem; tylko Grzegórz nie dotknął się téj smutnéj uczty, jaką śmierć ubóstwu wyprawia, bo jego modlitwa za Rocha nie była modlitwą dziada, lecz przyjaciela.

Póki się tylko nie zmierzchło, młynarka, młynarz i Grzegorz siedzieli z Rochową, pocieszali, uspakajali jak mogli; młynarka nawet upominała ją surowo, że się trzeba Bogu poddać, że trzeba żyć dla córki, wreszcie, pożegnawszy ją i już odchodząc, powiedziała:

— Moja Komo! toć my wszyscy pomrzema!

Skoro sąsiedzi odeszli, skoro Rochowa została sama z córką i obie spojrzały na tę izbę, gdzie Roch dawniéj siadywał, tak im się wydała pustą, smutną, że obie zalały się łzami.

Mrok coraz grubszy zachodził, łzy po cichu płynęły, wreszcie dzieweczka usiadła przy nogach matki, przycisnęła je do ust swoich i powtórzyłe za młynarką:

— Matulku! Toć my wszyscy pomrzema!

Te słowa z ust dziecka, słowa śmierci z ust roskwitającej dziewczyny wzruszyły serce matki; przytuliła ją do siebie jakby z obawą i rzekła,

— Żyj moja Aneczko, a kiedyć Bóg tak kazał żyć nam bez Rocha, toć i ja łzy otrę dla ciebie.

Lecz serce nie zaraz posłucha, długo jeszcze łzy płynęły i dwie kobiety pochyliły się na siebie i usnęły na ławie śród płaczu z ciężkiem w piersi westchnieniem.

W kominie było ciemno; ni jedna drzaździka nie zatliła się przez cały wieczór, drzwi stały na pół otwarte, a wiatr świstał przez nie zatkaną rurę i stukając w drzwi dobijał się do chaty.

MIMI PINSON.

(Ciąg dalszy).

(Patrz Ner Dziennika 335).

II.

Panna Pinson nie była ładną kobietą w całem znaczeniu tego wyrazu. Wielka zachodzi różnica pomiędzy ładną kobietą a ładna gryzetką. Jeżeliby ładna kobieta uznaną za taka i tak nazwana w narzeczu paryskiem, zapragnęła przywdziać skromny czepeczek suknię perkalową i jedwabny fartuszek, mogłaby jeszcze jako tako za ładną gryzetkę uchodzić! Ale jeżeli gryzetka włoży na głowę kapelusz, wdzieje na siebie suknię jedwabną i wszystko to mantylką axamitną przystroi, to jeszcze nie będzie bynajmniéj na ładną kobietę wydawać, owszem wyglądać będzie jak waliza, z któréj rzeczy i ubiory ze środka na wierzch wylazły. Różnica zależy tu najwięcéj na warunkach istnienia, w których się znajdują te dwie istoty, a najgłówniéj na tym kawałeczku tektury, owiniętéj materją i przywleczonéj axamitem, a nazwanéj kapeluszem, którą kobiety uznały za stosowne przykładać sobie do obu stron głowy, na wzór okularów końskich. (Trzeba jednak tu zauważyć, iż okulary przeszkadzają koniom spoglądać na prawo i na lewo, podczas kiedy powyżéj wspomniony kawałek tektury, nie przeszkadza kobietom strzelać oczkami gdzie tylko zechcą).

Bądź co bądź, skromny czepek stosowny jest do zadartego noska, ten zaś ze swojéj strony wymaga koniecznie dobrze wykształconych ustek, którym dotrzymują zwykle towarzystwa piękne ząbki i okrągła twarzyczka, jako ramy całego obrazu. Do okrągłéj twarzyczki koniecznemi są błyszczące oczy, a powinny być one o ile możności najczarniejsze, również jak i brwi. Włosy mogą być ad libitum, bo przy czarnych oczach, wszelkiego rodzaju włosy dobrze się wydadzą. Taka całość, jak przyznacie zapewne, nie stanowi wcale piękności. Zwykliśmy to nazywać twarzyczką jaką taką, twarzyczką gryzetki jednem słowem, która przystrojona w tyle razy wspominany kawałek tektury, byłaby może brzydką, a którą czepeczek robi wcale ładną, a nawet piękniejszą od saméjże piękności. Taką właśnie była panna Pinson.

Marcelli ułożył sobie w głowie, że Eugieńjusz powinien koniecznie brać się do téj młodéj szwaczki; nie mogę wam powiedzieć z jakiéj przyczyny, chyba dla tego iż on sam był wielbicielem pięknéj Zelji, przyjaciołki od serca panny Pinson. Zdawało mu się rzeczą naturalną i wygodną w tym sposobie wszystko ułożyć i połączyć przyjaźń z miłością. Wyrachowania podobnego rodzaju nie są rzadkiemi, a nawet niejednokrotnie wypadają pomyślnie, bo odkąd świat światem, ze wszystkich pokuszeń najniebezpieczniejszem jest sposobność.

Ktożby zdołał wypowiedzieć ile wypadków szczęśliwych i nieszczęśliwych, miłości i kłótni, radości i rospaczy, wywiązało się z dwojga drzwi sąsiadujących z sobą, z bocznych schodków, ciemnego kurytarza albo stłuczonéj szyby? Przecież niektórzy ludzie nie dają się uwieść tym grom hazardownym. Pragną oni zdobyć własną pracą roskosze, a nie wygrywać je na loterji, i nie czują się usposobionymi do miłości dla tego, że im los nadarzył siedzić przy pięknéj kobiecie w pudle dyliżansowem. Takim właśnie był Eugieńjusz i Marcelli wiedział o tem, to też od pewnego czasu uformował on plan bardzo prosty, ale który uważał za gieńjalny, a mianowicie nieochybny, bo tuszył że bez żadnéj wątpliwości za pomocą tego planu zwycięży opór swojego kolegi. (d. c. n)

TEATR WIELKI. Jutro: *Rigoletto*.

Dziś rano stopni zimna 16, wczoraj w poł. ciepła 1. Wysokość wody na Wiśle stóp 3 cali 2.

Do dzisiejszego Dziennika dołącza się Numer 99ty *Przeglądu Handlowego, Rolniczego i Przemysłowego*

imponować opierając się sprzedaży niektórych przedmiotów, lecz skarcony przez komornika, popychany przez żydków i własnych lokai, umilkł zacisnąwszy pięście i usiadł cichutko w kąciku. — Potem, nieznacznie zaczęła go i bawić licytacja: ucierania się żydów, ich bójki, współubiegania i śmiechy zgromadzonego chłopstwa, rozwiały gniewny humór panicza; mięszał się więc do ich kłótni, dowodził, figlował, jakby nie słysząc głośnych szlochów matki, płaczącéj w sąsiednim pokoju nad jego przyszłością.

Dopóki sprzedawano rozmaite sprzęty inwentarskie, bydło, owce, zaprzęgi, swawolnika wcale to nie obchodziło. Patrzył się obojętnie na przedmioty, których użytku nie pojmował; ale gdy usłyszał że konie cugowe kazano wyprowadzić, jakby iskrą elektryczną wstrząśniony, przeciska się wśród tłumu obległających stolik i krzyczy:

— Za pozwoleniem, ho, ho, za pozwoleniem, konie cugowe moje!

— Acpan mosendzieju do kolebki, spać naprzykład — mówił śmiejąc się komornik, a przeglądając papiery, czytał: — klacz kasztanowata lat 9, rubli 65. — No, zaczynać! — wołał obracając się do woźnego.

— Panie, co sobie to myślisz?! — krzyczał zarumieniony chłopiec przyskakując do niego z zaciśnionemi pięściami.

— Na bok acan, małoletni nie mają naprzyklad głosu.

— Do pokoju! — dodał Konrad odsuwając go na stronę. — I kopiejek 50! — zawołał do woźnego.

— Toś i ty taki, poczekaj dam ja wam! — dogadywał jeszcze zapieniony od złości, pędząc co tchu do sieni. — Mamo! mamo! cugowe konie sprzedają! — krzyknął rzucając się na kolana, załamując ręce z przestrachem i rozpaczą.

— Gdzie? co? jakto? — wrzasnęła przelękniona kobieta zrywając się z łóżka.

— Ten komornik kazał i Konrad... ot słyszy mama, 75 rubli dają... Matko Boska... mamo, prędzéj, prędzéj, ratuj bo sprzedadzą! — A patrząc jéj błagalnie w oczy, całował po rękach, po twarzy wijąc się tak rozpaczliwie, że biedna matka załamawszy dłonie, wyskakuje z łóżka, chwyta jakieś odziewadko, i tak nawpół ubrana, z rozpuszczonym włosem, bosemi nogi, biegnie ciągnąc za rękę płaczącego chłopaka.

— Co to? moje cugowe konie... oni śmią... zbrodniarze, oszusty... pójdź, pójdź Emilku, prowadź... ja nie pozwalam... co to znowu moję pracę..... tyrany...

Komornik i zgromadzeni, stanęli jak wryci ujrzawszy tę furję piekielnego gniewu. — Wzrok jéj osłupiały, ubiór w nieładzie, i jakieś nadzwyczajne wytężenie ostatniéj siły z jaką rozpychała zawadzające tłumy, zamknęły usta i potrwożyły wszystkich.

— Co mama robi? — krzyknął zobaczywszy matkę Konrad.

Ona nic nie słyszy nie widzi nikogo, a przybiegłszy do stołu, szarpie gwałtownie komornika, krzycząc:

— Gdzie moje konie zbrodniarzu?

A gdy przelękniony jurysta cofa się niemogąc i słowa wybełkotać, ona powiodłszy dzikiem spojrzeniem do koła, zdaje się opamiętywać nieco, bo przysiadłszy na krześle, zasłania oczy płacząc z tak dojmującym szlochem, że licytujący poczęli się mięszać czekając z zatrzymanym oddechem co z tego wyniknie.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 7 (19) Grudnia 1855 roku. — Starszy Cenzor F. Sobieszczański.